**Maja Mużdżyńska**

**Obrońca 1920**

 Poranek był cichy, niemalże uroczyście nastawiony do zbliżających się zdarzeń. Przedpole Płocka także wyglądało na gotowe. Otwierało się wielkim strumieniem jakby w oczekiwaniu na pochłonięcie metalicznej, bolszewickiej krwi. Milczące polskie oddziały oczekiwały wybicia godziny szóstej. Atmosfera była napięta, pełna determinacji i oparcia na przemyślanym planie. Aż nagle z niemego tłumu dobiegł okrzyk:

– Lance! Szable w dłoń!

Momentalnie cały gwar wyruszył w jednej linii poprzez okalające go przeszkody. Po okolicy rozniósł się ceremonialny tętent końskich kopyt głucho uderzających o ziemię. Owa wrzawa poczęła przeplatać się rykiem karabinów wybrzmiewających jako wyjący bies. Konie sapały ciężko wpatrzone w rozciągających się szerokim morzem bolszewików. Postawni, już zupełnie wsłuchani w emocjonujący dźwięk mężczyźni, wymachiwali szablami ponad głową i wznosili rozdzierające okrzyki. Poranny wicher zrywał się wraz z kolejnymi łomotami kopyt i jakby batem smagał dla ożywienia polskich ułanów. Cwałujące wierzchowce pokonywały dystans zaskakująco prędko. Kawaleria z każdym kolejnym mrugnięciem przezwyciężała coraz cięższe przeszkody. Aż nadeszła dla nich zapora żywa - bolszewicy. Coraz prędzej, coraz to odważniej przebijali się poprzez przeciwnika, szablami tnąc każdego, kto akurat pod ową szablę wpadł.

– Mamo! Pod samym Płockiem nasze oddziały biją bolszewików! – zawołał Stefan, wpadając w roztargnieniu do kuchni. Łapał ciężko oddech, a jego oczy pobłyskiwały naprzemiennie to dziecięcą ekscytacją, to zupełnie już dorosłą estymą dla polskiego wojska.

– Ach! Co jeśli im się nie uda…! – matka upuściła łyżkę i odwróciła się, wbijając sfrustrowane spojrzenie w syna. Zupełnie jakby zakazywała mu cieszyć się z poczynań wojennych.

Było około godziny piętnastej. Upalny dzień lśnił jeszcze promieniami sierpniowego, umęczonego Heliosa, który nudził się późnym latem. Do kuchni wpływała znużona smuga i nieśmiało czerwieniła drewniany stół.

– Nie mów tak! – odkrzyknął pobudzony młodzieniec. – Szarża Wojska Polskiego… to dopiero sensacyjna rzecz…

I rozmarzył się zupełnie, i odpłynął myślą do cwałujących wierzchowców dosiadanych przez postawnych mężczyzn z długimi, błyszczącymi się iskrami słońca szablami. Owe szable o złotych rękojeściach, pasujące w dłoń tak idealnie, jakby same zachęcały swoją istotą do szarży. Choć Stefan nigdy nie widział szarży kawalerii i jedynie wyobrażeniem uczestniczył w jednej z nich, poderwał się w roztargnieniu, spojrzał jeszcze raz w oczy matki i wybiegł z domu tak prędko, jak tylko potrafił.

 Biegnąc poprzez ulice Płocka, nie przestawał zastanawiać się, co by to było, gdyby mógł ze Straży Obywatelskiej przejść do prawdziwego wojska. Dostawałby wtedy poważniejsze zadania, mógłby naprawdę stawiać czoła potężnym Kozakom i dławić w gardle ich niezrozumiałe słowa, składające się na wrzaski nienawiści. Przestałby być dla nich „szkodnikiem” i stałby się „przeciwnikiem”. Gdyby tylko urodził się wcześniej… może i cały naród usłyszałby o wielkich zasługach Stefana Zawidzkiego! Ale jako czternastolatek nie mógł wstąpić do wojska, by bronić Polski przed bolszewikami. Momentalnie z głębokiego namysłu wyrwał go wysoki mężczyzna, który pochwycił go silnym uściskiem za ramię i szarpnąwszy z lekka drobnym Stefanem, złapał ciężki oddech.

– Chłopaku! – krzyknął – Dokąd cię niesie, życie ci niemiłe? Tam już Kozacy przedarli się do miasta! Uciekaj, dziecko, uciekaj i nie patrz za siebie!

Jeszcze raz, tym razem mocniej ścisnął ramię młodzieńca i pobiegł w kierunku mostu. Niedługo po tym z bram i bocznych ulic poczęły wylewać się chaotyczne tłumy, a wśród nich nieliczni żołnierze. Stefan stał wpatrzony w ulicę prowadzącą na Stary Rynek. Zrobił kilka kroków i ruszył z powrotem do domu.

 Wpadł prędko, zatrzasnął drzwi i spod kanapy stojącej w salonie wyciągnął owinięty kawałkiem białego prześcieradła karabin. Delikatnie musnął lufę, gdy nagle w wejściu do salonu stanęła matka.

– Stefan, co ty wyprawiasz?

– Mamo, idę walczyć! Idę walczyć z Kozakami! – oświadczył prędko i ruszył w stronę drzwi. Momentalnie zatrzymał go uścisk podobny do tego, jaki podarował mu wysoki mężczyzna na ulicy. Paznokcie matki wbijały się w cienką tkaninę koszulki nastolatka, który szarpał się i mruczał pod nosem słowa błagań.

– Nigdzie nie idziesz! Proszę cię, nie mogę stracić jedynego syna! Co powiedziałby na to twój ojciec?

I w tej chwili obojgu zaszkliły się oczy na wspomnienie o ukochanym ojcu i mężu. Ale Stefan nie był gotów na kompromis pozostania w pozornie bezpiecznym domu.

– Wrócę nim zdążysz zauważyć, że wyszedłem! – oświadczył, ucałował matkę w policzek i pospiesznie wybiegł z karabinem.

 Napotykając wciąż uciekających w popłochu ludzi, mijał również tych, którzy niepewnie decydowali się na walkę. Kozacy wpadali do kamienic i wynosili z nich kosztowności, mordowali mieszkańców i siali zniszczenie. Gdzieniegdzie słyszeć dało się głośne wybuchy granatów i widać było wysokie kłęby dymu z płonących budynków. Poprzez ciężkie, upalne powietrze roznosiły się wrzaski tańczące z wystrzałami i iskrami. Chrzęst stali poprzedzany przez krzyki mieszczaństwa przepływał ulicami i odurzał nastolatka. Myślał on wówczas, że to miasto błaga jego samego o ratunek. I wszystkiemu wtórował tętent koni przeciwnika. Biegnąc pod samym Magistratem, momentalnie ujrzał, jak z jednej z bram wyjeżdża pięciu potężnych Kozaków na koniach. Wierzchowce rżały grzmiąco jakoby nadchodząca burza. Prędko dojrzeli drobnego, niepewnego Stefana i poczęli donośnie krzyczeć w języku dla młodzieńca niezrozumiałym. Jeden z nich wyciągnął szaszkę kozacką z pochwy, a nieszczęsnemu nastolatkowi serce ścisnęło się w piersi. Zaczął na oślep strzelać ku nim, jednak każdy jego strzał niósł ze sobą zaledwie głośny skowyt biesa i rżenie wierzchowców. Spust wydał z siebie zupełnie niechętny zgrzyt i Stefan pojął, co za moment się stanie. W głowie wybrzmiały mu słowa jego przyjaciela: „Życie to nie sen rozkoszy ani bój tęczowy, ale walka nieustanna, bądź do niej gotowy.” Nie był gotowy. Wciąż trzymał karabin w górze, lecz począł cofać się z wolna. Kozacy gniewnym spojrzeniem lustrowali nastolatka, on patrzył tylko na szablę. Aż nagle bolszewik ruszył wprost na Stefana. Ten nie miał najmniejszych szans na ucieczkę, koń zebrał się w mgnieniu oka do galopu. Nad ich głowami przeleciała czarna plama wron spłoszonych wybuchami. Młodzieniec miał wrażenie, że to noc nastała. Ciemny korowód wrzeszczał wniebogłosy jakby próbował w ptasiej wrzawie wyśpiewać tren. Tren poświęcony Stefanowi Zawidzkiemu. Szumiały grzmiącym trzepotem skrzydeł i co chwilę nawoływały żałośnie: „Krra! Krra!”, a Stefanowi ugięły się nogi. Czarna chmura okryła nijakim cieniem gniadego wierzchowca i mężczyznę szarżującego wprost na nastolatka. Tu i ówdzie słychać było wrzaski mieszczaństwa, eksplozje i warkot karabinów maszynowych. Obrona Płocka rozpoczęła się na dobre. Tylko Stefan nie miał już szans jej ujrzeć. Spojrzał na szablę błyskającą się w przedzieranych przez wrony promieniach Heliosa. Ostra szaszka napotkała opór i cięła zamaszystym ruchem, a po Rynku rozniosło się dziecięce zawodzenie. Choć na pozór składało się z jednej tylko samogłoski – „a”, rozrywało serca i naprzemiennie muskało się z wronim wtórem „Krra!”. Karabin upadł na ziemię z głuchym trzaskiem. Minęła chwila i długimi strugami zaczęła kapać na niego krew. Tak długimi i rozgrzanymi do czerwoności jak poblask słońca na stole w domu młodzieńca. Gniady koń zatrzymał się parę metrów dalej i Kozak odwrócił się ze wściekłym spojrzeniem. Chybił niezmiernie. Cała prawa ręka Stefana trzymała się na zaledwie paru centymetrach wątłej, skrwawionej skóry. Oczy zalały się bolesnymi łzami, a gardło rozrywał przeraźliwy ryk bólu, który zagłuszał wszystko dookoła. Kozacy poczęli wymieniać się rozzłoszczonymi spojrzeniami i przeklinali nastolatka. Stefan próbował uciec jeszcze, ale potknął się o skrwawiony karabin i upadł boleśnie. Nieszczęsne, skruszone serce. Mężczyźni zeskoczyli z koni i następny dobył szabli, która wychodząc z pochwy wydała z siebie stalowy szum. Stanęli nad chłopcem i dwójka Kozaków poczęła ciąć jego ciało z całej siły. Ciosy wchodziły gładko w brzuch, nie otrzymując cienia oporu ze strony cierpiącego dziecka. Momentalnie gdzieś zza ich pleców dobiegł głos.

– Barbarzyńcy! Wyście wszyscy na jednego, słabiutkiego?!

Stefan poprzez łzy ujrzał trzech mężczyzn i jedną zapłakaną kobietę. W krzyczącym rozpoznał wysokiego mężczyznę, który zatrzymał go na ulicy i nakazał uciekać. Gdyby go wtedy był usłuchał…

Kobieta patrzyła wprost na chłopaka i płakała rzewnie, widząc jego zakrwawioną rękę i brzuch. Cienkie strugi płynęły z jego ust i plamiły ziemię na Starym Rynku. Coraz ciężej było mu krzyczeć. Krztusząc się krwią, zauważył, że nie może pochwycić oddechu. Ściskał rany na swoim brzuchu i syczał ciche błagania o ratunek.

- Oddajcie nam chłopaka! Oddajcie! – krzyczeli mieszkańcy. – Cóż on wam narobił? Dajcie nam zabrać go w bramę!

Jeden z Kozaków dobył szabli i zdecydowanym ruchem raz jeszcze ciął ciało chłopaka, patrząc wprost na płaczącą kobietę. Uniósł skrwawioną broń i wymachując nią w stronę mieszkańców, wrzasnął coś niezrozumiale. Stefan wtedy właśnie pochwycił ostatni swój oddech i pożegnalnie musnął lufę swojego karabinu. Dla niego obrona Płocka się skończyła.

 Pokój Tobie, Stefanie Zawidzki!

 Matka jego, Joanna Zawidzka dopiero kilka godzin później dowiedziała się o wielkiej tragedii, jaka spotkała ją i jej jedynego syna. Zabrała do domu blade ciało zbrukane własną krwią i ułożyła je w czystej pościeli. Gdyby wtedy stanowczo zabroniła mu wyjść… I choć obrona Płocka zakończyła się sukcesem, to nikt nie uczuł szczerej radości.

 Dwa dni po ucieczce Kozaków dwudziestego sierpnia odbyła się wielka ceremonia pogrzebowa wszystkich, którzy polegli w heroicznej obronie. Tego dnia nawet pogoda zbuntowała się przeciwko niesprawiedliwościom świata. Zaraz po pogrzebach niebo zachmurzyło się niezmiernie, zupełnie jakby otoczone korowodem spłoszonych wron znad Starego Rynku. Rozpoczęła się mickiewiczowska burza. Deszcz począł smagać świeże nagrobki i pogorzeliska jakoby batem. Oczyszczającymi kroplami zmywał krew z ruin miasta. Co chwilę słychać było grzmiący ryk huraganu, który wył wichrem i chłostał piorunami. Blask błyskawic rozjaśniał niebo na krótki czas, a w chmurach, które rozświetlał, ponoć widać było oblicza obrońców Płocka.